

Nieco zużyta taśma

Jean Cocteau: „Maszyna do pisania”. Komedia w 3 aktach. Przekład Marii Serkowskiej, reżyseria Krystyny Zelwerowicz, scenografia Eugeniusza Markowskiego. Prapremiera polska w Teatrze Powszechnym.

Choć program teatralny stara się nam wmowić, że „każde spotkanie czytelnika czy widza z Janem Cocteau... jest olśnieniem” — nie jesteśmy bynajmniej olśnieni. W „Maszynie do pisania” ustatkowany, utemperowany na starsze lata akademik Cocteau zapomniał o górnych i zuchwałych latach swej awangardy, przeszedł grzecznie na pozycje sztuki kasowej. Co więcej, w tej „Maszynie” popsute jest nie tylko małe „m” ale wiele innych członków, powiedzmy sobie szczerze: cała ta maszyna jest nieco zdezolowana, wybija litery nieskładnie, krzywo. Ani to zręczna „kryminałka” ani głęboka sztuka psychologiczna (a ma pretensje do obu rodzajów) — widać, że autor pisał ją dość niedbale, bez większych ambicji. Wielbiciele utworów kryminalnych na pewno zgodzą się ze mną, że rozwiązanie intrygi (jakże — nie zdradzę) jest w „Maszynie” prymitywne i rozczarowujące. Temat obyczajowo - psychologiczny (tak ulubiony przez francuskich pisarzy problem rozkładu współczesnej rodziny) w nierzwym w swoim wnętrzu nie przypomina drażliwości Cocteau w „Straszliwych dzieciach” czy „Straszliwych rodzicach”. Nawet tak wrodzona paryskim scenopisarzom zręczność techniczna, warsztatowa, po części zawodzi: ekspozycja aktu pierwszego jest przydługa, akt trzeci „puszczony”, jakby go pisał przedwojenny nadwiślański dostawca sztuk bujarowych. Tak to „Maszyna do

pisania” nie daje nawet tyle pojęcia o twórczości Cocteau, co blahe „Zaproszenie do zamku” o twórczości autora „Antygony” i „Skowronka”.

A więc sztuka bez wartości, nie wiadomo po co u nas wystawiona? Bądźmy sprawiedliwi. Parę scen napisanych jest doskonale, a trójka młodych w sztuce ma w sobie, mimo wszystko, coś z tego niepokoju współczesnej młodzieży i ich nowego stylu bycia i życia, które nieraz zaskakują starszych nie tylko w Paryżu. Ale chociaż ucieczka w świat fikcji może przybrać dziwaczne, chuligańskie i wynaturzone formy — najwięcej tu jednak pocziwego romantyzmu, którego nie trzeba brać zbyt poważnie. Przymieniają się — bar — o mi przykro — aż „Romantyczni!” Rostanda. Gdy zabrakło ekspertyz — tu, zebrano się na eksploatację. Powodzenie — w razie dobrej roboty teatru — zapewnione na długo.

Tej dobrej roboty nie brakuje w Teatrze Powszechnym. Sztuka, wyreżyserowana kulturalnie i ze znawstwem, grana jest starannie i w należytych tempie. Krystyna Zelwerowicz słuszenie potraktowała lekko i jakby lekceważąco problemy rodzinne w „Maszynie”. Markowski słuszenie zrezygnował z próby udziwnienia oprawy plastycznej. Nie jest to kredyt dla pewnej banalności dekoracji początkowych aktów; ale uznanie dla trafnego zilustrowania pseudoromantycznej rupieciarni strychu zmarłej pani

Didierowej i tywej panny Margot. Hugo Krzycki i Bogdan Szymkowski lekko i płynnie wiodą dialog dobrodusznego komisarsza policji śledczej z ojcem, który całą czułość ma tylko dla jednego z synów-bliźniaków. Pogratulować roll młodej parze: Janinie Nowickiej i Ryszardowi Baryczewi. Nowicka, nieco nérwowa w pierwszym akcie i polykająca niektóre słowa, później się uspokaja i daje dobrze skrojoną rolę zapalczywego ducha w pięknie zbudowanym ciecie. Barycz umie się szybko przedziergać ze ślamazarnego Paskala w buntowniczego, trochę wykołonego Maksyma. „Ma w sobie coś z bohaterów Hiaski” zauważyła moja sasiadka. To dobra nochała umiejętnego wcielenia się w postać o ostrym życiu wewnętrznym.

W roli Solange, bogatej, samotnej damy, która zakochała się niesforownie w młodszym od siebie a pociągającym urokiem tajemniczości i skłócenia ze światem Maksymie, występują Barbara Sępniakówna oraz — zbyt rzadki ostatnio gość na scenie — Izabela Wilczyńska. Obie aktorki dają dobry pokaz gry. Sępniakówna podkreśla raczej towarzyską swobodę i pewność siebie Solange, dla takiej kobiety rozłąka z Maksymem nie będzie zbyt długotrwałą tragedią. Solange — Wilczyńska jest bardziej uczuciową, rozstanie się z Maksymem to dla niej katastrofa, to dramat zbolalej duszy starzejącej się kobiety, z którego chyba się już nie otrząśnie.

Przekład giętki. Triumf policjanta-detektywa widzowie oklaskują gorąco.

JASZCZ

dzi ko się głosi jeszcze ja ma ucieczkę od życia czy też wiarę w siłę magiczną biernego marzenia, poza którym jest pustka, ale które wie- dzie ku zgubie.

Nie nosi się sów do Aten. W kraju szaniawszczyzny kogo umięta dziesiąta woda po kislelu teatru Maeterlincka, jego alegorii i symboli? Raczej zużył i zniercierpliw! Tu dodajmy, że Szaniawski posługuje się podobną co Neveux poetyką znacznie subtelniejszą i bardziej poetycką niż autor francuski. „Julietta ze snów” to raczej ów „kwadrans duszy”, którym — jak świetnie zaobserwował Szaniawski — lubi się upajać zadowolony mieszczuch po sytmie obiedzie.

Pośród nawału pusto brzmiących słów, pośród sytuacji, które można by mnożyć w nieskończoność, krótkie chwile ożywienia przy słuchaniu i oglądaniu „Julietty” niosą sytuacje charakterystyczne, to jest te, w których eteryczny Neveux stapa krótko po ziemi i dotyka zwyczajnego życia. Takim jest rodzajowy epizod z Poważnym Panem, rozładowującym w śnie swe erotyczne kompleksy;

takimi scenki ze Slepcom i Władniem, których tanituki sentyment może na chwilę wzruszyć osoby bardziej tkliwe.

W wystawienie tej „Julietty” włożył teatr wiele wysiłku — aż żal bierze, że tak źle go skierowano. I scenoplastyczne symbole są przelumaczone, i chwytły reżyserkie mają swój sens. I aktorzy mocno się starali, by giuche sytuacje jakoś udźwięcznić, puste słowa wypełnić ludzkimi uczuciami. Stanisław Jasiukiewicz potwierdził przy okazji dobre mniemanie o swoim aktorstwie, właśnie dlatego, że miał zadanie niewdzięczne. Poetycka Julietta o uroczej postaci, ciepłym głosem i płynnych ruchach była Olga Sawicka. Wyraziste sylwetki — po części w kilku rolach — narysowali zwłaszcza Lech Ordon, Juliusz Luszczyński, Tadeusz Kondrat (z radością witamy powrót tego wybornego aktora na scenę, po jego ciężkim wypadku i długiej rekonwalescencji), Tadeusz Surowa, Stanisław Jasiukiewicz, Henryk Borowski, Cezary Juiski... Ileż trudu nadaremnie...

JASZCZ

